

ZANIM ODEJDZIE OSTATNI

Pani Maria Bogusławska należała do Koła Krzemieńczan w Warszawie. Bywała na comiesięcznych spotkaniach. Miała w sobie coś z pensjonarki, coś z „Dziewcząt z Nowolipek”. Biło od niej ciepło i serdeczność; miała w sobie duży wdzięk, nieprzemijający kobiecy urok - i dostojność damy. Czuło się w niej też koleżeńską bliskość. W latach 1992-93 zbierałem materiały do tematu „Więzenie sowieckie w Krzemieńcu w okresie IX.39 - VI.41”. Pani M. Bo-

ożywiła się, na jej twarzy pojawił się uśmiech, w oczach błysk. - Proszę mi mówić pani Mario - zwróciła się do mnie i zaraz dodała: - może wpierv zrobię kawkę? Już, już - proszę. - Ani się człowiek obejrzał, kiedy te pół wieku przeminęło - rzuciła w przestrzeń. Jak ten czas leci... Szła lekkim krokiem - w ruchach i postawie zachowała młodość. Postawiła kawę, chwilę zastanawiała się - przywoływała z pamięci obrazy z tamtych lat. Zabrano mnie z



Krzemieńczanie na zjeździe „Indian” w Warszawie w 1992 r. Od lewej stoją: Maria Solecka-Kolodziej z Kanady, Ola Krychowska z Anglii, Zdzisław Rozum, prezes Józef Piątkowski, Janina Gładuń-Sułkowska z Kanady. Przykucnięci: Edmund Bosakowski, p. Piątkowska i prof. Maria Bogusławska

gusławska również doświadczyła tego losu. Miałem to szczęście, że zaprosiła mnie do swego mieszkania, przy ul. zwanej wówczas Świerczewskiego, tuż obok Studenckiego Teatru Satyryków. Był czerwiec 1993 roku. W pokoju pani Bogusławskiej było cicho i przytulnie. Krzemienieckie pejzaże na ścianach i kwiaty w wazonach. A za oknem warszawska ulica. Pani Maria spoglądała w okno, zbierała myśli... Na samo wspomnienie o dawnym Krzemieńcu

ulicy, tak, że nawet w domu nie wiedzieli. Tylko zaraz... kiedy to było? Był to chyba październik? W Krzemieńcu i powiecie nastąpiły aresztowania Polaków. Więzienie było przed stacją kolejową, nieco w lewo od Rogatki Dubieńskiej. Pamiętam był to długi budynek, w nim pośrodku korytarz, po bokach cele. My siedzieliśmy w celi 14, w następnej mężczyźni. Było nas siedem. Marychna Kuropatwińska - dyr. szkoły w Leduchowie, Maria Kosińska - urzędniczka

ze starostwa, Janka Poniatowska - nauczycielka jęz. francuskiego w Liceum Krzemienieckim oraz Joanna Kopczyńska - nauczycielka wychowania fizycznego. Ponadto jeszcze jakieś dwie panie, których nazwisk nie pamiętam - no i ja. Za co mnie aresztowano nie wiem? Pewnie za to, że byłam nauczycielką w Liceum Krzemienieckim - za patriotyzm, za szerzenie kultury polskiej i niezadowolenie z przyjścia władzy sowieckiej. Po drugiej stronie celi siedziało siedem Ukrainek. Jak mówiono zagorzałych nacjonalistek, ale z nimi byłymy w zgodzie. Tylko jedna z nich spoglądała na nas złym okiem. Lachy! - mówiła ze złością. Dwie starsze wieśniaczki były nawet miłe. Kiedyś zapytałam je: - za co siedzicie? Każut szczo za polityku! - odpowiedziała jedna. - A wy wiecie co to jest polityka? - pytałam dalej. - Nie znaju pani - odrzekła druga, dodając - to tak było: ja nosyła mołoko do KOP-u, a Nastia jajcia. Jakiś czas potem surowo osądzono je za to „mołoko” i za te „jajcia”, które kopiści dawno zjedli i zesłano je na parę lat do Kazachstanu. Takie to było wtedy „prawo”. Powiedziałabym, że z nami kobietami obchodzono się o wiele łagodniej, aniżeli z mężczyznami, wszakże dokuczliwa była świadomość ciągłego pilnowania - enkawudziści podnosząc drewniane klapki, zamocowane na drzwiach, stale nas obserwowali. Tu za więziennymi murami, zostałyśmy rzucone w inny świat. Całe nasze dotychczasowe życie zapadło się w otchłań. W celi od czasu do czasu „prowierka”, „doprosy”. Pytano nas, czy się znamy. Oczywiście mówiłyśmy, że nie. Wtedy lepiej było być jak anons, jak ulica bez nazwy - nie znać i się i nic o sobie nie wiedzieć. Rano dostawałyśmy tzw. „pajok” tj. około 250 g chleba i kubek „lurawatej” kawy. Na obiad zupa kartoflowo-brukwiowa i wieczorem „kipiatak”. Przesłuchania były ciężkie i zawsze nocą. Dowożono nas samochodami ciężarowymi ul.

Szeroką na Rogatkę Wiśniowiecką do siedziby NKWD, na jakieś 3-4 dni. Na okres pobytu zabierano dla nas garnek zupy: raz dziennie karmiono nas zimną strawą. Śledztwo trwało długo i było męczące. Nie przyznawałam się do przedstawianych mi zarzutów, a tym bardziej do winy. Enkawudziści usiłowali wydobyć zeznanie strachem i groźbą bicia. Padały określenia nie nadające się do druku. W brutalny i sadystyczny sposób deptano naszą godność – „śledowatie!” po parę razy pytał o to samo i coś tam sobie zapisywał. W końcu kazał podpisać protokół. Naczelnikiem NKWD był Kowalenko – rasowy, przystojny Ormianin, „śledowatiem” był Jurczyk – mały i straszny grubianin. Przetrzytywali nas w areszcie NKWD. Był to długi parterowy barak, a w nim pięć cel. W naszej był okrągły piec obity blachą. Jedna połowa pieca była w naszej celi, a druga w sąsiedniej. W rogu celi między piecem a ścianą był wąski prześwit. Po drugiej stronie siedzieli mężczyźni. Przez tę szparę mogliśmy się z nimi porozumiewać. Stąd wiem, że siedział tam Bielecki – dyrektor Szkoły Rolniczej w Białokrywcy, leśnik Gałkiewicz i Janek Targoński. Osobną kartą były mniej znane losy kuratora Liceum Krzemienieckiego – Stefana Czarnockiego. Tragizm wielu więźniów dopełnił się pod koniec czerwca 1943 r kiedy Sowietci uciekali przed Niemcami. Z naszej celi słychać było rozpaczliwe wołania, strzały i jęki mordowanych. Enkawudziści w ostatnich dniach panowania rozstrzeliwali więźniów w pobliżu więzienia, a ofiary wrzucali do sporej sadzawki na terenie więzienia. Enkawudziści w popłochu uciekali do Jampola. Wówczas więźniowie powyważali w celach drzwi. Nam pomogli w tym mężczyźni. Wypadliśmy na podwórze i potem razem z innymi więźniami wydostałyśmy się na jakąś ulicę. Uchodzący żołnierze sowieccy odnosili się do nas przyjaźnie. - Uciekajcie stąd! - wołali. Od

razu rozdzieliliśmy się na małe grupki. Ja uciekałam z Jurkiem Targońskim, a zaraz za nami Joasia Kopczyńska i Janka Ponia-towska. Ukryliśmy się na wzgórzu, pod krzakami - w szczerym polu. Niedaleko nas siedziała w zbożu Marychna Kuropatwińska z siostrą Wandą. Noc była ciepła i widna. Na drugi dzień byliśmy wyczerpani i głodni. W pewnym momencie patrzę, a tu idzie jakiś człowiek z kosą! Myślę sobie: trudno - co będzie, to będzie i wołam go! Okazało się, że był to Ukrainiec znający nas wszystkich z liceum i dobrze mówiący po polsku. Mleko i kaszę, które miał w dwójakach zostawił nam do zjedzenia. Obiecał wieczorem donieść trochę prowiantu oraz pójść do mego domu i powiadomić rodziców. W tym czasie NKWD powróciło z Jampola i wylapywało zbiegłych więźniów. Przed samym opuszczeniem Krzemieńca wielu z nich rozstrzelali. Na wszelki wypadek zmieniliśmy miejsce ukrycia się, gdzie przeczekałyśmy aż do wkroczenia Niemców. Byliśmy ogólnie bardzo wyczerpani więzieniem i ostatnim ukrywaniem się, ale bardzo szczęśliwi z odzyskanej wolności. Niestety krótka była nasza radość. Niespodziewanie zjawili się ukraińscy policjanci i aresztowali Janka Targońskiego, Jankę Poniatowską i Joasię Kopczyńską. - Zabieramy ich tylko na przesłuchanie - powiedzieli. Poprowadzili ich na Gestapo - i więcej ich już żywych nie widzieliśmy! W końcu lipca 1941 r. razem z większą grupą Polaków zostali rozstrzelani pod Górą Krzyżową - Otóż i tak! - mówiła pani Maria - wycierając oczy... A ja jeszcze przez parę dni musiałam się ukrywać. Zabrała mnie do siebie Ukrainka Duńka, która przynosiła nam mleko. Nieco później pani Czerkaska chciała mnie zatrudnić w aptecce Kaczyńskich. Nie podjęłam tej pracy, bo słabo znałam język ukraiński, a poza tym byłam zmęczona przejściami więziennymi, ostatnimi tragicznymi zdarzeniami i kompletnie wyczerpana psy-

chicznie. Musiałam odpocząć. Ot i takie to były nasze wojenne losy. Z naszej zaprzyjawnionej piątki tylko ja jedna przeżyłam. - Ale panie Edmundzie - ja jeszcze coś mam dla pana - powiedziała pani Maria. Podeszła do komódki, pogrzebała w szufladzie i dała mi jedną kartkę maszynopisu. - To do poczytania w domu - dopowiedziała. W domu też już nie zwlekałem. Była to kartka z pamiętnika znanej nam już Marychny Kuropatwińskiej. Obie - z siostrą Wandą wyjechały do Londynu, - a do dziś pozostała jedynie ta kartka wspomnień. Ale jakże wiąże się z tym, o czym opowiadała p. Maria Bogusławska. Nie pamiętam daty ukończenia śledztwa - pisze Marychna Kuropatwińska. Chyba był grudzień 1940 r. w parę miesięcy po wejściu Wandy do naszej celi. Śledztwo Wandy nie trwało długo. W grudniu sporządzono akt oskarżenia, stwierdzono naruszenie § 54 p. 10 cz.I, i 54-II. republiki ukraińskiej - sprawa 24924. Z oskarżenia dowiedziałam się, że w tym czasie został również aresztowany p. Mieczysław Pawecki, a 24 marca 1940 r. Wandzia i jeden z moich uczniów Zygmunt Oleszczuk. W akcie oskarżenia zarzucano mi działanie przeciw Związkowi Radzieckiemu, podtrzymywanie przekonania o powstaniu w krótkim. czasie byłego państwa polskiego, o szerszenie kultury polskiej na wsi ukraińskiej. Wandziulce zarzucono podzielenie moich poglądów i wzięcie udziału w wystawieniu „Wesela” Wyspiańskiego. To samo dotyczyło p. Mieczysława Paweckiego i Zygmunta Oleszczuka. Oskarżeniu nadano zatem tło polityczne. Sprawiedliwość sowiecka wiedziała, jakie przestępstwa obejmuje pojęcie kontrrewolucji i jakich ludzi należy za nie skazywać. Te same określenia w rozumieniu kodeksu ZSRR nie pokrywają się z naszym pojęciem. To był świat innych wyobrażeń, który brutalnie deptał nasze postrzeganie świata, wiarę, niszczył hierarchię wartości, zacierał symbole i rozmywał kontury prawa. Czeka-

łyśmy na wyrok modląc się gorąco, żeby nie wywieziono nas w głąb Rosji. Wreszcie 20 stycznia zawieziono nas do sądu - wracaliśmy wszystkie cztery piechotą budząc sensacją wśród mieszkańców. Rozprawa odbyła się w tymże pomieszczeniu, gdzie prowadzono śledztwo. Na podium zasiadli: prokurator, sędzia i obrońca z urzędu, obok dwóch ławników i sekretarz. Na nogach mieli kalosze podwiązane sznurkami. Czapki na głowach. Siedzieliśmy w ławkach czekając na odczytanie aktu oskarżenia i rozprawę. Było to jedyne w swoim rodzaju widowisko - obrońca z urzędu oskarżał na równi z prokuratorem. Sędzia występował przeciw podsądnym, których prokurator oskarżał oględniej niż obrońca z urzędu. Słowem była to farsa, akt represji - przemocy i bezprawia obcego państwa za nie popełnione czyny. Po dwóch godzinach bezsensownej dyskusji ów humorystyczny areopag sędziów udał się na naradę. Po powrocie odczytano wyroki: Mnie skazano na 10 lat poprawczego łagru i 5 lat pozbawienia praw. Wandulkę na 8 lat tak jak i Oleszczuka, p. Mieczysława Pawęckiego na 5 lat. Do więzienia przeprowadzono nas pieszo. Jak opowiadała później Alinka Królikowska ludzie wylegli, by nas oglądać. Wszyscy byli zdziwieni, że idziemy pogodnie, nie poddając się przygnębieniu. W dobry humor wprowadził nas ten dziwniony, bezsensowny sąd i trudny do zrozumienia wyrok. Nasi opiekunowie z więzienia przejęci wyrokiem radzili, abyśmy pisali do Stalina o zmniejszenie wyroku. W marcu 1941 roku Marychna Bogusławska opowiedziała nam swój sen: „Wiecie co śniłam - do naszej celi przysłał depeza: 22 czerwca 1941 r.”... Zaczęłyśmy kombinować - co też może się zdarzyć 22 czerwca? co dzień modliłyśmy się gorąco, by nas nie zdążono wywieźć. Prosiłyśmy raczej o śmierć niż o zsyłkę. I znów przeszło 3 miesiące: Rano 22 czerwca zerwałam się pierwsza. Obudzona Wandulka z towa-

rzyszkami z celi podniosły mnie do zakratowanego okienka, do góry bliżej sufitu. Zobaczyłam - że „gołębniki” puste! Opuściłyśmy podwórko więzienne. Żadnych odgłosów, jakby władza więzienna zapomniała o nas. Po chwili stukanie z sąsiedniej celi, gdzie siedzieli: p. Mieczysław Pawęcki i Zygmunt Oleszczuk. Oni rozumieli powód tej nagłej zmiany. „My pierwsi wybijemy drzwi, a wy wywalcie swoje skrzynię od chleba; Gdy wyjdziemy to i wam pomożemy”. Tak się też stało. Drzwi z trzaskiem puściły. Z innych cel wydoस्ताło się również kilkanaście osób. Więzienny korytarz zapełnił się. Ludzie wybiegli na więzienne podwórze. Kilkunastu wychudłych i zarośniętych więźniów dopadło krat, stanowiących główną zaporę. Patrzyłyśmy z przerażeniem i zarazem zachwytem. Grube kraty nie wytrzymały nacisku ludzi pijanych wolnością. Tłum więźniów wyległ na krzemieniecką ulicę. Zapominając o ostrożności tłumnie maszerowaliśmy ku miastu. Wtem ujrzeliśmy samochód, a w nim naczelnika NKWD Kowalenkę. Żołnierze zawrócili więźniów w kierunku dworca i więzienia. Po 10 minutach marszu szliśmy koło lasu. Do mnie i Wandulki podszedł żołnierz i zduszonym głosem powiedział: „żeńszczyzny puskać siebie iduć” - wskazując las. Odeszłyśmy od tłumu i po chwili weszłyśmy w gęsty zagajnik. Dalszy ciąg owych zdarzeń znamy z opowieści p. Marii Bogusławskiej. Można by było pomyśleć, że mamy już pełny obraz losów dotyczących ich wspólnych przeżyć w więzieniu sowieckim w Krzemieńcu. Ale w życiu zdarzają się stany poza naszą percepcją - możliwością postrzegania i reagowania w czasie - jakaś intuicja, jakieś przeczucie podpowiedziało mi, że coś jeszcze musi się dopełnić - coś czego bardzo, ale to bardzo brakowało mi do zamknięcia tej dramatycznej sprawy. I oto stało się coś, w co aż trudno mi uwierzyć! Oto od koleżanki Łodzi Domańskiej otrzymałem wiadomość,



Zjazd Krzemieńczyków w Zamościu w 1997 r. Pierwszy od lewej: Jan Załęski – prezes, po środku stoją: Zdzisław Szczęsny i Eliza Wojtowicz. „Umarli zobowiązują żywych” – głosi napis w Zamojskiej rotundzie

ze w Dąbrowie Górniczej żyje i mieszka p. Mieczysław Pawęcki – świadek tych zdarzeń. Ten sam, o którym wspomina p. Marychna Kuropatwińska. Do listu dołączony był odpis - ksero autentycznego wyroku, który potwierdza to, co w swoich wspomnieniach opisała dokładnie p. Maria Kuropatwińska. Do listu załączona została też relacja odręcznie napisana przez p. Mieczysława Pawęckiego dot. jego pobytu w tym więzieniu. Pan Mieczysław Pawęcki, który w okresie aresztowania, ze swojej celi, przez małe zakratowane u góry okienko, codziennie spoglądał na Górę Bony i przepiękne miasto Krzemieniec – pisze: „W ostatnim dniu sowieckiej władzy zebrałi resztę więźniów w kolumnę i wcześniej rano popędzili nas - otoczonych przez enkawudzistów i psy - do stacji kolejowej Szepetówka, leżącej już na terenie sowieckim, gdzie załadowano nas do towarowych wagonów po 40 osób. Zawieźli na Ural, do miasta Złotoust - miasta - ogromnego więzienia, gdzie przebywało tysiące ludzi różnej narodowości. Dopiero dzięki „amnestii” zwolnili nas, by potem wcielić do Armii Kościuszkowskiej, tworzącej się w Sielcach nad Oką. Mnie zwolniono 11.XI.1941 r. Byłem jeszcze przez rok na Uralu w sowchozie i poszukiwałem żony,

którą wywieźli na Sybir. W grudniu 1942 r. dostałem jej adres. Była w północnym Kazachstanie. W Nowy Rok uciekłem do Kazachstanu. Ucieczka zakończyła się szczęśliwie” - kończy p. Pawęcki. Teraz mieszka w Dąbrowie Górniczej, należy do Związku Sybiraków, tylko ze zdrowiem - to niestety trochę gorzej, aniżeli „stosownie do wieku”... Z wędrówki syberyjskiej przywiózł menażkę i łyżkę, z pietyzmem przechowywał w swojej komodzie, ale jak rzekł - „nie ma tego komu pozostawić”, więc przekazał je na zorganizowaną w Muzeum Niepodległości w 1996 roku wystawę: „Sybir 1940 - 1956”. Teraz menażka czeka na otwarcie stałej ekspozycji sybirackiej w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Miejmy nadzieję, że wystawa ta zostanie jeszcze otworzona „zanim odejdzie ostatni” - ostatni z tych, którzy jeszcze mogą zaświadczyć o swoim - w tamtych tragicznych dniach - przeklętym losie. Ostatni z tych, których: „Pod eskortą enkawudzistów na koniach i psów - wilczurów popędzono jampolskim traktem na wschód. Za nimi pociągnęły zarekwirowane furmanki z bagażem. Przed wschodem słońca doszli do wsi Folwarki Wielkie, później do Rybczy. Enkawudziści nie dopuszczają rybczan do więźniów. Węzélki z

żywnością nie docierają do ich rąk. Psy biegną z wyciągniętymi jęzorami, warczą, szarpiają za nogawki, gryzą. Miasteczko Koterburg, za nimi 20 km drogi, straszny upał, okropne zmęczenie na twarzach więźniów i enkawudzistów. Idąca przodem więźniarka słabnie, pozostaje w tyle, ze smutnym uśmiechem macha ręką na pożegnanie. Słychać strzał! Enkawudziści klną, ponaglają do marszu. Około godziny 15 Zahajce Wielkie. Weszli w las. Tu cień i pewna ulga. Krótki postój - rozdano „pajok” - 150 g chleba i kubek wody - i w drogę. O zmierzchu zdziesiątkowana kolumna dotarła do Jampola. Przed nimi tafla

zbyt wiele, aby spokojnie to odebrać. Trzymałem w ręku te jego odręcznie napisane wspomnienia i ten wyrok sądu z dn. 20.01.1941 roku, wydany w imieniu Ukraińskiej Republiki Rad, chodziłem nerwowo po policzkach łzy. Ale czas jest nieubłagany. Stopniowo odchodzą ci, którzy owe czasy pamiętają, którzy mogą je jeszcze opowiedzieć lub opisać. W sierpniu 1997 r odeszła od nas na zawsze p. Maria Bogusławska. W kościele św. Józefata na Powązkach, ostatnie słowo o niej wypowiedział krzemieńczanin - ks. prałat Janusz Popławski... „Lata emerytury p. Maria spędza w War-



Biesiada Krzemieńczan w Łomiankach k. Warszawy w lipcu 1998 r w domu pp. Zofii i Aleksandra Niedźwieckich. Refleksje o przemijaniu, wspomnienia o tych co już odeszli, snuje Edmund Bosakowski

wody-staw! Wpadli po pas, pili długo, wymiotowali i znów pili. Przed nimi daleka droga. W Szepetówce droga odcięta. Na sąsiednich torach dużo transportów z więźniami z Dubna, Równego, Zbaraża i Tarnopola. Skierowano ich na Płoskirów, Kamieniec Podolski, Kursk. Wyglądali przez zakratowane okna. Zastanawiali się, kto z nich powróci, a kto pozostanie „tam” na zawsze?” Pan Mieczysław Pawęcki to bodajże ostatni z tych, którzy powrócili? To, że udało się go odnaleźć - to coś niesamowitego. Jak na moją wrażliwość, to

szawie. Udziela się społecznie. Jej zasługą jest uzyskanie zgody Kurii Arcybiskupiej na umieszczenie tablicy pomordowanych profesorów Liceum Krzemienieckiego w kościele SS. Wizytek. Udziela się czynnie w Towarzystwie Krzemieńczan. Po stracie brata i narzeczonego w Katyniu całe życie spędziła samotnie. Była człowiekiem szlachetnym o wielkiej dobroci serca”. Było to ostatnie zebranie krzemieńczan z jej udziałem. Jak ten czas leci?... Już 1999 rok. Któż to już wiosna tych, którzy Kresy Wschodnie pamiętają?...